ZIEMIE ZACHODNIE Rzeczypospolitej

DODATEK MIESIĘCZNY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

ROK III. STYCZEŃ 1943 R. Nr. 1 (9)

25-LECIE POWSTANIA WIELKOPOLSKIEGO

27 grudnia ub. r. minęło ćwierć wieku od wybuchu Powstania Wielkopolskiego. Dla społeczeństwa Ziem Zachodnich stanowiła rocznica ta nie tylko wspomnienie historyczne, ale także coś bardziej żywego: wizję najbliższej przyszłości, lecz o kształtach bardziej jeszcze dramatycznych dla wroga, niż tamta chwila dziejowa.

Staraniem Klubu Polskich Ziem Zachodnich odbył się w dniu 27 grudnia w Edynburgu obchód 25-lecia powstania wielkopolskiego. Obchód poprzedziła Msza św. pontyfikalna, odprawiona przez biskupa polowego wojsk polskich ks. Gawlinę, w obecności arcybiskupa Edynburga. Podczas akademii okolicznościowej przemawiał minister prac kongresowych dr. Seyda, prezes szkocko-polskiego towarzystwa plk. Scott oraz prof. Grabski w imieniu Rady Narodowej.

PRZEZ ROZPACZ DO WIELKOŚCI

Z ostatnich raportów z Ziem Zachodnich, szczególnie zaś z Wielkopolski, wyłania się wyjątkowo ponury obraz społeczeństwa polskiego. Wywiezienie wczesną jesienią dużego odsetku mężczyzn — pracujących zwłaszcza w aparacie administracyjnym i w biurach firm prywatnych — do Norwegii, ciągłe transporty dzieci i młodzieży męskiej na roboty do Rzeszy, wreszcie masowe świeże aresztowania mężczyzn i zsyłki do obozów koncentracyjnych, wszystko to sprawiło, że społeczeństwo polskie zdziesiątkowane już i tak czterema latami terroru, zostało prawie że doszczętnie z d e m a s k u l i n i z o w a n e. Aktywnego elementu męskiego zostało bardzo niedużo i tym resztkom, potrzebnym dzisiaj jeszcze machinie wojennej, grozi każdego dnia los większości towarzyszy. Jeśli się zaś weźmie pod uwagę, że wojskowa akcja poborowa na Śląsku i Pomorzu, rozwijana systematycznie od paru lat, a ostatnio niesłychanie wzmożona ogołaca ludność polską z najwartościowszej jej substancji — dotąd wcielono np. na Pomorzu 250 tys. Polaków — to nie popełni się przesady, gdy się stwierdzi, że Polacy na macierzystych ziemiach polskich w obecnej chwili — to kobiety udręczone uciążliwymi ciążami, macierzyństwem bolesnym i samotnym, pozbawionym opieki męskiej i barbarzyńską, przymusową pracą, to dzieci częścią bezlitośnie germanizowane, częścią demoralizowane i systematycznie wyniszczane, to wreszcie starcy nękani jako element przecież zbędny totalnej gospodarce wojennej, widmem zagłady w czeluściach komór gazowych.

I na takie to społeczeństwo spadły ciosy tak straszliwe, jak śmierć gen. Sikorskiego, jak stopniowe rozwianie się wszystkich po kolei nadziei na zakończenie wojny w 1943 r., które ożywiła i realnymi zdawała się czynić kapitulacja Włoch, jak zbliżająca się konieczność przeżycia jeszcze roku 1944 pod okupantem przy ciągłym crescendo niemieckiej machiny niszczycielskiej. Nic dziwnego, że raport dla określenia nastroju, w jakim znajduje się obecnie społeczeństwo wielkopolskie, używa niestosowanego jeszcze dotąd nigdy słowa — rozpacz.

Lektura takiego raportu w pierwszej chwili wytrąca z ręki pióro, usiłujące skreślić artykuł o tonacji optymistycznej. Czyż jest w tej ciemnej nocy polskiej choćby światełko, przy którym możnaby skupić siły i obudzić nadzieję? Czy jest gdzieś choć jeden moment pozytywny, mocny, pewny, na którym możnaby oprzeć budowlę przyszłości, choćby czysto myślową? Wydaje się, że nie ma. Ale myśl pracuje, myśl nie znosi próżni. Mówi ona, że życie jest wieczne a przed nami jako narodem, cokolwiek nas spotyka i jeszcze spotkać może, jest przecież — ż y c i e. I myśl wreszcie dostrzega to positivum — w samej rozpaczy. Pomaga jej pewna reminiscencja literacka.

Krótko przed wojną wybitny pisarz i głęboki myśliciel szwajcarski F. Ramuz napisał niewielką książeczkę p. t. „Besoin de grandeur" (Potrzeba wielkości). Był to rodzaj apelu do narodu szwajcarskiego, próba wydobycia zeń utajonych sił, wytrącenia go z biernej postawy obserwatora wielkich wydarzeń, wstrząsających dalekim światem, obserwatora chronionego pozornie Alpami od bezpośrednich skutków i niebezpieczeństw owych wstrząsów. Mowa tam była o nędzy, kruchości i małości takiego życia, życia, którym nie miotają wichry wielkich wydarzeń i wielkich przeznaczeń. Wina leżała według autora w tym, że naród szwajcarski w przeciwieństwie do wielkich narodów nigdy w czasach współczesnych nie przeżył uczucia rozpaczy. Udziałem jego było zawsze mierne zadowolenie, które prowadzi tylko do lenistwa i zgnuśnienia. Bo jedynie przez rozpacz naród zdobywa ostrogi wielkości, realizuje swe przeznaczenie, zbliża się do Absolutu.

Polskie społeczeństwo zachodnie, które przed wojną przypominało trochę naród szwajcarski w optyce Ramuza, które lubiło wygodę a nie lubiło ryzyka, które zbytnio przywiązane było do ustalonych form i idei, które stało z dala od ośrodków wielkich decyzyj, przyzwyczajone do postawy krytycznego widza, które nie aktywizowało wszystkich wartości, jakie niewątpliwie posiadało — to społeczeństwo znalazło się dzisiaj na samym dnie niedoli. Spotkało je wszystko, co los miał tylko złego w swym zanadrzu. Nie pozostawił mu on żadnego złudzenia, kazał mu przeżyć wszystkie okropności i udręki, niepewność, lęk i zwątpienie. Teraz zanurzył je w lodowatą topiel rozpaczy.

Ale taka kąpiel, gdy się z niej wyjdzie — odmienia do gruntu. Odmładza, odświeża, dynamizuje. Spojrzenie na świat staje się twardsze, a wola hartowniejsza. Tego nam najbardziej potrzeba. Nie będzie może wielu tych, którzy zostaną, którzy się zbiorą i powrócą — ale ci, którzy doczekają się zwycięstwa, zwłaszcza młodzi i najmłodsi, których serca stały się stalowe, nie wyłączając nawet kobiet — będą mieli siły i rozmach życiowy zwielokrotnione. Dochodzi do nas coraz więcej głosów o tym, że w łonie społe-

czeństwa zachodniego dokonywują się bardzo ciekawe procesy, których skutek okazać się może zbawienny dla naszej przyszłości. W młodej generacji budzi się duch pionierski, zamiłowanie do zawodów technicznych, gorąca tęsknota do najżywszej, konkretnej pracy dla Państwa i do kształtowania bezpośredniej rzeczywistości. Na gruzach wczorajszego świata, z gleby wojennych doświadczeń i tradycyj wyrasta nowa wizja życia, nowy światopogląd, nowa wola. Tysiące zginęły, ale ci, którzy ocaleją z pogromu, będą mieli siły za dziesięciu, a gdy trzeba będzie, nawet za stu. Bo tak jak największe cierpienie często rodzi największe siły, pozwala osiągnąć szczyty człowieczeństwa — tak też najciemniejsze z wszystkich uczuć, — rozpacz prowadzić może do wielkości. Zwłaszcza gdy za nią jest nie śmierć, lecz życie, choć nie bezpośrednio i nie bezzwłocznie. Życie, to znaczy zwycięstwo nad mocami śmierci. A jest to już dzisiaj dla nas wszystkich aksjomat niezbity.

GERMANIZOWANIE I TĘPIENIE ORLĄT

Przytłoczeni ciężarem życia w okupacji, zmęczeni terrorem, zawaleni faktami dnia codziennego — nie dość jasno widzimy i rozumiemy, że dramat, jeden z największych naszego narodu — rozgrywa się na naszych oczach na Ziemiach Zachodnich. Walka o polskie dziecko — o jego duszę i język, albo o jego życie. Germanizacja albo zagłada. Bodaj po raz pierwszy w dziejach ludzkości dziecko—od niemowlęcych swych dni niemal — stało się tak straszliwie bezpośrednim **przedmiotem i celem walki.**

Narodowy socjalizm i jego polityka narodowościowa na naszych Ziemiach Zachodnich zmienić chcą oblicze narodowościowe tych ziem w sposób rewolucyjny, dynamiczny i totalny.

Znane cyniczne słowa dygnitarza niemieckiego na Śląsku, skierowane do opornego Polaka — „Nie ma Pan w rodzinie nikogo, ktoby był z pochodzenia Niemcem? Więc Pan będzie pierwszym Niemcem w swej rodzinie" — częściowo tylko odpowiadają prawdzie. Dotychczasowi mieszkańcy tych ziem mają być pierwszym pokoleniem „zniemczonym", ale **pierwszym pokoleniem niemieckim mają już być ich dzieci.**

Cel jest jasny, a obrana metoda jest nieskomplikowana.

„Wiemy że wola naszego narodu jest dla nas najwyższą miarą postępowania — oświadczył kierownik wyszkoleniowy partii dla okręgu „Gdańsk — Prusy Zachodnie" — a formy działania są tylko środkiem do celu. Dlatego zarówno w wyborze środków jak i ich zastosowania możemy i musimy być elastyczni aż do braku zasad".

Klasyczną formą tej „elastyczności" jest właśnie akcja NLN, prowadzona na ZZ a zwłaszcza na Śląsku i Pomorzu od dwu z górą lat. Służy ona zniemczeniu ludności. Narodowy socjalizm przy całym materializmie swego światopoglądu i mechanizacji środków, nie jest jednak na tyle głupi, by nie zdawał sobie sprawy z tego, że w tej walce narodowościowej ostatnich dni ludność polska poddała się naporowi tylko pozornie, taktycznie — licząc się w istocie z załamaniem Niemiec i ich polityki. Byle przetrwać szał, zwyciężyć terror. Tej świadomości dał wyraz artykuł W. Löbsacka w „Danziger Vorposten" p. t. „Życie jako nauczyciel".

„Nie martwimy się — pisał Löbsack — o motywy, które tym czy tamtym z ponownie „zniemczających się" powodowały lub powodują, **bo my za to dokładnie wiemy, czego chcemy...**"

Dziś już wiadomo z całą pewnością, czego mianowicie Niemcy chcą w tej akcji — idzie o pełne zgermanizowanie najmłodszego pokolenia polskiego. Celowi temu podporządkowano wszystkie dostępne środki. Na dziecko polskie przypuszczono wściekły atak, szturm generalny, spodziewając się urobić jego młodą duszę jak wosk w żelaznej garści germanizatora. Podsunięto mu całą — tak atrakcyjną dla dziecka — kostiumerię formy „zabawy w Indian". Hitler-Jugend i Bund Deutscher Mädel, mundurki, sztylety, odznaki, obozy letnie, wycieczki. A obok tego — pozornie niewinne akcesoria tej walki o zdobycie dusz dziesiątków tysięcy dzieci polskich — ogródki jordanowskie, przedszkola, szkoła i ich stały germanizujący wpływ. Bo germanizacja odbywa się nie przez dom, nie za zgodą i wolą wpisanych

na NLN rodziców, ale wbrew ich woli i ku ich rozpaczy. Czuję, że przy tej potwornej przewadze środków jaką dysponują Niemcy — taktyka podstępu zaczyna chybiać celu, że tę walkę o duszę swych dzieci przegraliby, gdyby wojna potrwać miała jeszcze lat kilka.

Instytucje publiczne — opieka społeczna, szkoła, życie organizacyjno-młodzieżowe w roli germanizatora, to pomysł szatański. A że stosuje się przymus powszechnego włączenia dzieci i młodzieży w życie i działanie tych instytucyj — nawet potomstwo rodziców t. zw. „opornych" też musi należeć do H. J. — więc i działanie germanizujące jest powszechne, a zjawisko powolnego ulegania dzieci wpływom zniemczającym — masowe. Gdyby te wpływy były długotrwałe, mogłyby stać się niezatarte. To też coraz częstsze są tryumfalne raporty prasy niemieckiej w reportażach ze szkoły czy przedszkola:

„Dzieci nie znały dawniej języka niemieckiego a dziś porozumiewają się nim niemal wyłącznie..." „Trudno je odróżnić już dziś od dzieci z Rzeszy"... „Rośnie nowe pokolenie czysto niemieckie, ponownie przywrócone niemczyźnie"...

System, w który wtłoczono polskość, jest przemyślany gruntownie i wykuty z żelaza. Nie ma w nim luki, wszystko jest przewidziane, każde zarządzenie zazębia się z trybami całej maszynerii germanizacyjnej. I dlatego są wyniki. Rodziców przez cały dzień zajmuje przymusowa ciężka praca — dziećmi więc zajmuje się państwo niemieckie, partia i jej przybudówki. Dziecko wzrasta i wychowuje się więc w środowisku i atmosferze niemieckiej, której wpływu nie zdoła zneutralizować w pełni wpływ słabej siłą rzeczy, bo urywkowej, 2 — 3 godzinnej opieki domu. Zwłaszcza że rodzice poza brakiem czasu, skrępowani są szpiclowskimi metodami „blockleitera", czy szkoły. Dziecko nieświadome walki, łatwo stać się może denuncjantem w rękach prowokatora-nauczyciela:

„Masz cukierka, dziecko. A jak ty mówisz w domu? Po polsku, prawda?"

Dziecko potakuje, rodzice raz i drugi płacą karę, idą do obozu, więzienia. Sprawa kończy się źle.

Wreszcie dziecko zaczyna coś nie coś rozumieć i przyswaja sobie wielką mądrość życiową — **na ulicy należy mówić głośno i tylko po niemiecku, w domu cicho i tylko po polsku. Do mówienia po polsku nie należy się nigdy przyznawać.** I tak od maleńkości w duszę dziecka wrasta świadomość istnienia podwójnej moralności. Białe jest równocześnie czarne, czarne — białe.

To okaleczenie nie jest rzeczą błahą. Dom i szkoła, dwa autorytety i dwa światy. Który głosi prawdę? I czy w ogóle istnieje bezwzględna prawda?

A jednocześnie germanizacyjne wpływy środowiska rosną: piosenka — niemiecka, zabawa i rówieśnicy — Niemcy, mundurek — niemiecki, mowa — przeważnie niemiecka. Dziecko jak papuga bezmyślnie przyswaja sobie wiele rzeczy. Przyswaja sobie i język niemiecki, z którym stale styka się publicznie, który ma wszędzie prawo obywatelstwa, gdy polski jest wyklęty — i tak odbywa tą wytyczoną mu przez wroga drogą swą wędrówkę, która oddała je — nieświadome rzeczy — od polskości, a wiedzie ku wrogowi.

Ale to nie wyczerpuje problemu. Wielu rodziców, zorientowawszy się w sytuacji, podjęło walkę. Nie bacząc na konsekwencje i mimo nich. Znalazł się i na nich sposób. Dzieci ich odłącza się zgodnie z postanowieniami statutu NLN — na pewien czas od rodzin. W ten sposób niszczy się w zarodku możność obrony. Zostaje tylko dziecko wobec germanizatorów.

„Im będą starsze i im więcej wrosną w nasz narodowo-socjalistyczny świat — pisał Löbsack w cytowanym już artykule — tym bardziej oddala się od silnych jeszcze wpływów rodziny czy krewnych"...

Świeżo napływające z Wielkopolski i Śląska wiadomości mówią o wywożeniu wgłąb Niemiec setek polskich dzieci nieślubnych, znajdujących się dotąd na utrzymaniu Opieki Społecznej *). Wyznaczono im, a zwłaszcza reprezentującym rasowo typy nordyckie — **rolę janczarów Germanii.** Zbrodnia popełniana z całą świadomością i cynizmem. Kradzież żywych pozycji narodu. To już nie kradzież żywego towaru, to kradzież dusz.

Jednym z wielu przykładów tego zbrodniczego cynizmu jest historia, jaka zdarzyła się niedawno w Wielkopolsce. Ojciec rodziny poszukiwany przez Gestapo, ukrywał się i tylko co jakiś czas wpadał na kilka godzin do domu. Pewnej nocy ledwo umknął z obławy, Gestapo zabrało jednak żonę i troje drobnych dzieci — 7, 5 i 4-letnie. Dzieci bite i terroryzowane, bohatersko odmawiały przyznania się, że widziały

---

*) Nie jest to cyfra mała. Mały Rocznik Statystyczny (1939 r.) podaje odsetek dzieci nieślubnych w województwach zachodnich 8,9%. W przeliczeniu na cyfry bezwzględne daje to liczbę 10 tys. dzieci nieślubnych rocznie.

ojca. 5-letnia dziewczynka twierdziła, że nie wie już, jak tatuś wygląda, a czteroletni chłopczyk, wielokrotnie pytany, zawsze oświadczał, że fujarkę (ofiarowaną mu tego wieczora przez ojca) znalazł na ulicy. Przyznania do widywania się z ojcem Gestapo nie zdołało wymusić. Mimo to matkę wywieziono do obozu koncentracyjnego, a dzieci umieszczono u rodziny niemieckiej w głębi Rzeszy, zabraniając krewnym dowiadywać się o nie...

Germanizowanie orląt...

A opór i walka? W obozie przejściowym „dla opornych" w Potulicach (Pomorze) pośród 17 tysięcy więźniów znajduje się też około tysiąca nieletnich dzieci. Potulice są jednym z najcięższych obozów: nędza, głód, straszne warunki sanitarne, epidemie. Dzieci mrą tam jak muchy.

Te dzieci polskie na ZZ, które są na wolności — pozbawione są wszystkiego co stanowi radość życia — swobody, zabawy radości. Wyżywienie niedostateczne, w domu nędza, brak opieki. Tępienie systemem Szkolnictwo dla nich nie istnieje, analfabetyzm rośnie z roku na rok. Za to od 8 roku życia obowiązkowo muszą pracować i to ciężko, nawet w fabrykach zbrojeniowych. Wyniszczenie biologiczne jest tak duże, że na długo pozostawi ślad w organizmach dziecięcych.

Cierpią za to, że urodziły się Polakami. To ich grzech śmiertelny. Dlatego mają zginąć, zczeznąć.

To zbrodnia jedna z największych, popełniana przez Niemców w tej wojnie. Niszczenie młodych sił, podcinanie pędów, rwących się do słońca i kradzież dusz. Bić należy na alarm. O tej zbrodni wiedzieć musi cały naród polski i cały świat.

Ale nie tylko wiedzieć. Należy już teraz przygotować planową akcję wychowawczą. Przed nauczycielstwem polskim leży olbrzymie pole zadań. Od tego, czy ono je spełni, czy nie — zależy przyszłość narodu.

EKSPLOZJA IRYTACJI, NIEZADOWOLENIA I NIEPOKOJU

W ostatnich paru miesiącach nastąpiła wśród przywódców politycznych i partyjnych niemczyzny na Ziemiach Zachodnich eksplozja irytacji, niezadowolenia i niepokoju. Ilustruje ją poniższe zestawienie głosów prasy i wydarzeń.

Przed Górnośląską Izbą Pracy i funkcjonariuszami Niemieckiego Frontu Pracy, w obecności namiestnika Brachta delegat okręgowy, Pötzsch, wygłosił mowę na temat sytuacji w piątym roku wojny. Poniżej ciekawszy urywek przemówienia według „Oberschl. Zeit." (nr. 291 — 1943).

„Wojna daje sposobność do rozdwojenia duchowego. Po jednej stronie zanotować można niezliczone dowody najczystszego bohaterstwa, podczas gdy z drugiej strony istnieć będzie zawsze także element negatywny. Dziś chodzi przede wszystkim o świecenie przykładem przez wydajną pracę oraz postawę, szczególnie u ludzi na stanowiskach kierowniczych. Kto dziś zawodzi, nie ma prawa powoływać się na zasługi stare. Wysiłek pozytywny to nie tylko uiszczenie składki do jakiejś tam organizacji, lecz osobisty wkład pracy, a tym samym przyczynek dla dobra narodu. Lenistwo i wygodnictwo przy pracy mniej są dziś dopuszczalne niż kiedykolwiek. Piąty rok wojny wymaga od każdego największego wysiłku".

Ze „zdrajcami" rozprawił się kierownik powiatowy partii Hässler w Katowicach „Oberschl. Zeit." (nr. 287 — 1943):

„Od wyniku obecnej wojny zależy byt Niemiec. Wszystkie mosty zostały spalone. Zakończeniem musi być kara na tych wszystkich ziomków, którzy stają się zdrajcami w tej walce decydującej".

„Partia ponosząc tu — mówił Hässler — pełną odpowiedzialność, musi posiadać także pełną możliwość kierowania i to bez kompromisu. Dlatego musi mieć również możność wkraczania we wszystkie dziedziny życia i wywierać na nie decydujący wpływ. Odpowiedzialność jednak ponosić mogą tylko ludzie z charakterem, a szczególnie tu na naszym terenie".

W ostrzejszej jeszcze formie przemówił na apelu służbowym partii narodowo-socjal. w Katowicach wspomniany wyżej delegat okręgowy Pötzsch. „Oberschl. Zeit." (nr. 295 — 1943):

„Mała liczba malkontentów, łazików i szkodników jest bez znaczenia. Pomimo to trzeba postawić rzecz jasno. Dla napadającego nas z tyłu — pewna jest kara śmierci. Nie może dziś być żadnego Niemca, któryby nie wiedział dokładnie, o co w tej walce idzie. Obojętni muszą być doprowadzeni do przytomności, aż uświadomią sobie, iż my Niemcy nie pracujemy aby żyć, lecz żyjemy, aby pracować".

„Wyznawanie przynależności do partii w słowach, na nic się nie przyda. Czego zaniedbamy teraz w wojnie, stracone jest na zawsze. Wymówki, że to lub owo zrobi się po wojnie, nie mogą nam pomóc. Co uznało się za słuszne — wykonane być musi

natychmiast, a co się uznało za błędne — natychmiast musi zniknąć".

Delegat najwyższego sądu partyjnego w przemówieniu do sędziów powiatowych Górnego Śląska, według sprawozdania „Oberschl. Zeit." (nr. 284, 1943) powiedział:

„Cel polityczny, wysuwający się na plan pierwszy tkwi w tym, by za wszelką cenę zdobyć zwycięstwo. Z tego wynika, że wytępione być musi wszystko, co stałoby przeszkodą na drodze do osiągnięcia tego celu. Zwracając się do górnośląskich sędziów, podkreślił mówca, że objęli oni na wschodzie szczególnie piękny urząd. Swą pracą mają przyczynić się do nadania temu terenowi ponownie oblicza niemieckiego. Wschód nie został przez naszych żołnierzy wyzwolony po to, aby stał się Eldoradem dla handlarzy, paskarzy i lichwiarzy. Bez reszty musi być wytępione wszystko, co sprzeciwia się dobrej postawie naszego narodu".

W tej kampanii o podtrzymanie zachwianego „morale" niemieckiego nie pominięto również kobiet. Do kobiet niemieckich zwrócił się w czasie manifestacji w Łodzi kierownik powiatowy Knaup. „Litzmannst. Zeit." (nr. 304) tak określa to wezwanie:

„Ostre słowa wypowiedział mówca w kwestii postawy względem narodowości obcej. Żadna kobieta niemiecka nie powinna wychodzić w przyszłości bez odznaki i żadna też, chociażby dziesiątki lat żyła wśród obcej narodowości, nie powinna zapomnieć dla miłej korzyści o swojej niemieckiej postawie".

Z okazji setnego kursu w szkole partyjnej w Jenkau (pod Gdańskiem) czytamy w „Danz. Vorposten" (nr. 320, 1943):

„Nie można przy najlepszej nawet chęci twierdzić, że agitacja naszych wrogów jest słabsza w stosunku do okresu wojny poprzedniej Przeciwnie: ilość ulotek, które zostają zrzucone nie tylko za frontem, ale przede wszystkim nad krajem wezbrała do prawdziwej fali potopu. Na drodze okrężnej przez państwa neutralne, wroga agitacja przez swoją propagandę szeptaną stara się znaleźć drogę do narodu niemieckiego Lecz te wszystkie zabiegi nie znajdują w Niemczech posłuchu, gdyż naród niemiecki jest politycznie i duchowo tak szkolony, że w tej propagandzie dopatruje się chytrości wojennej".

Ilustracją rzeczywistości nie dającą się zamalować nawet hitlerowsko-goebelsowskim pendzlem jest jednak poniższy rejestr: „Litzmannst. Zeit." (nr. 321, 1943):

„W czasie wojny bez porównania lepiej jest nie mówić o stu różnych rzeczach, niż wygadać się o jednej, o kórej wypadałoby milczeć. Nie dla zabicia czasu umieszczono na widocznych miejscach napisy i afisze wzywające do ostrożności przy rozmowach, ze względu na przysłuchującego się wroga. W toku wojny okazało się wyraźnie, iż ściany i powietrze dziś rzeczywiście mają uszy. Działa wywiad w niebywałych rozmiarach oglądając się za każdym punktem oparcia.

„Pamiętajmy przecież o tym, że w Niemczech mamy dziś wiele milionów cudzoziemców. Zdajmy sobie sprawę z tego, iż nie stali się z wczoraj na dziś przyjaciółmi narodu niemieckiego ci, którzy przez lata całe byli pod obstrzałem wrogiej nam propagandy oraz którzy w końcu stanęli przeciwko nam z bronią w ręku. Wywiad nieprzyjacielski napewno usiłuje ich użyć dla swoich celów. Należy od ich oczu i uszu z dala trzymać to wszystko, co pod względem wojskowym, zbrojeniowym lub wyżywienia w jakikolwiek sposób odnosi się do prowadzenia wojny. Sprawy, o których słusznie rozmawiać mogą Niemcy i Niemki pomiędzy sobą, bardzo często nie mogą być dyskutowane w obecności cudzoziemców".

„Nie mówiąc już o obowiązującej nas jako ludzi krwi niemieckiej postawie, wymienione powyżej powody wskazują na naglącą potrzebę, by utrzymywać należyty dystans z ludźmi obcej narodowości. Zwłaszcza w domu, w kółku rodzinnym mówi się o tym i owym. Tam nie należy dopuszczać obcoplemiennych. Lecz niezależnie od tych niebezpieczeństw, grożących ze strony cudzoziemców wymaga wojna daleko sięgającej wstrzemięźliwości w życiu publicznym. Stare przysłowie: Mowa jest srebrem, milczenie złotem" posiada dziś szczególne znaczenie".

W ramach przeprowadzonych na Górnym Śląsku „Dni Partii" odbył się w Katowicach apel powiatowych grup narodowosocjal., na którym przemawiał kierownik powiatowy Hässler. Streszczenie jego mowy podała „Oberschl. Zeit." (nr. 315, 1043). Oto fragmenty:

„W tej walce o byt czy niebyt naszego narodu nie może być cywilów. Żołnierska postawa jednostki decyduje o tym, czy front wewnętrzny, biorąc jako całość, zdoła być kręgosłupem dla frontu zewnętrznego. Wychowanie społeczeństwa jest do tego stopnia potrzebne i ważne, że należy je rozszerzyć także na element będący mniemania, że wolno mu wywoływać niepokój przez powątpiewanie oraz przez lamentowanie. Takim szkodnikom uniemożliwi się w przyszłości na terenie powiatu katowickie-

go wykonywanie ich zbrodniczej procedury w razie potrzeby brutalną siłą".

Stwierdziwszy, że nie może być mowy o kompromisie z wrogiem, gdyż ustępstwa uczynione w niektórych tylko punktach oznaczałyby porażkę, równą zagładzie narodu, mówca oświadczył:

„Jak w takim wypadku wyglądaliby nasi panowie i władcy, widzimy codziennie na przykładzie jeńców sowieckich Kto z nimi lub z jeńcami innych narodów sympatyzuje, popełnia zdradę wobec swego narodu i naraża się na poniesienie następstw za takie postępowanie".

Poniżej fragment artykułu na temat mowy namiestnika Brachta, wygłoszonej na zjeździe przywódców partyjnych w Katowicach. „Oberschl. Zeit." (nr. 316, 1943):

„Aż do chwili zwycięstwa — mówił namiestnik — nie ma wytchnienia, ani denerwowania się, chociażby nawet miało być jeszcze gorzej. I naprawdę, nie mamy powodu do denerwowania się: jeśli zachowamy postawę i zespolimy się mocno, to żadna siła nie zdoła nam wydrzeć zwycięstwa... Przetrwaliśmy dotąd wszystkie doświadczenia, postarajmy się o to, aby aż do końca zachować naszą siłę i nasze zdecydowanie".

„Ost. Beob." (nr. 300, 1943) donosi:

„49-letni burmistrz August Barsch z okręgu Gdańsk — Prusy Zachodnie" słuchał przez kilka lat w swoim pokoju radia londyńskiego i dzielił się fałszywymi wiadomościami ze swymi znajomymi. Wyświadczył tym przysługę wrogiej agitacji i nadużywając swego urzędowego stanowiska burmistrza, starał się niszczyć siłę moralną swej ojczyzny. Barsch został skazany na karę śmierci".

Restauracje i oberże mają poprawić nastroje. Na ten temat mętnie wynurza się „Danz. Vorp." (nr. 323, 1943):

„Wychodząc z założenia, że nasze lokale gastronomiczne są nie tylko miejscami przyjmowania posiłków, lecz że mają poza tym w ramach wojny do spełnienia ważne zadania jako rzeczniczki dóbr narodowych, zdrowia narodowego oraz dobrego nastroju — zorganizowała Izba Rzemiosła Gastronomicznego zjazd, na którym przemawiał Okręgowy Kierownik Propagandy, Diewerge. Udzielił on słuchaczom cennych wskazówek, dotyczących ich codziennej pracy.

„Nasze lokale gastronomiczne obsługują 100.000 ludzi dziennie i są tym samym głównym punktem spotkań. Obok swego właściwego zadania fachowego, może tu oberżysta w sposób decydujący wywierać wpływ na nastrój... Przede wszystkim przez jasne pojmowanie politycznej i wojskowej sytuacji stale będzie mógł wywierać korzystny wpływ propagandowy i może liczyć na wszelką pomoc, jeśli wystąpi bezwzględnie przeciwko plotkarzom, blagierom oraz przeciwko strategom mędrkującym przy piwie".

Na rozprawie szczecińskiego sądu doraźnego rozpatrzono sprawę 56-letniej kobiety, której zarzucono opowiadanie dowcipów politycznych. Oskarżoną zasądzono na 9 miesięcy aresztu. Sąd stanął na stanowisku, że stała się ona aczkolwiek niechcąco — narzędziem propagandy nieprzyjacielskiej. W związku z tym pisze „Th. Freiheit" (nr. 260, 1943):

„Dla każdego chyba jest jasne, że nasze dzisiejsze poważne czasy mogą się obejść bez dowcipów politycznych, gdyż w większości wypadków bynajmniej już nie chodzi o dowcipy, lecz o uporczywą, złośliwą krytykę. Sankcje karne przeciw autorom i kolporterom takich dowcipów są słusznie surowe.

„W pierwszym rzędzie miarodajna jest przy tym ustawa przeciw objawom złośliwości. Kto przez złośliwe wynurzenia — do czego zalicza się oczywiście także wierszyki polityczne itd. usiłuje sparaliżować lub rozkładać wolę narodu niemieckiego, lub sprzymierzonego, do zbrojnego utrzymania swojej egzystencji, podlega zasadniczo karze śmierci za rozkładanie siły obronnej — a tylko w wypadkach mniej ważnych może — nie musi — być wymierzona kara więzienia lub aresztu".

„Oberschl. Zeit." (nr. 304, 1943) pisze:

„Na apelu przywódców SA przemawiał w Katowicach Pg. Moosberg, nawołując obecnych do szczerego wyznania wiary narodowo-socjalistycznej i do wzmożenia walki ideowej przez odpowiednie postępowanie i świecenie przykładem.

„Bezwzględnie — powiedział mówca — i według starych, wypróbowanych recept występować będzie SA przeciwko autorom plotek i kolporterom głupich dowcipów, które zdradzają wyraźnie swoje żydowskie pochodzenie i które kwalifikują bez wątpienia swoich kolporterów jako słuchaczy nieprzyjacielskich stacji radiowych".

Powyższy rejestr minorowych nastrojów kończy ciekawym i charakterystycznym artykułem „Gadulstwo i jego następstwa" „Ostdeutscher Beob." (nr. 305, 1943) jak następuje:

„W Anglii przygotowuje się obecnie nową kampanię propagandową przeciwko Niemcom. Londyńskie dzienniki publikują uwagi o niemieckim froncie wewnętrznym, zebrane podobno przez przybyłych z Niemiec w drodze wymiany ciężko rannych jeńców angielskich. Na podstawie zeznań tych jeńców konkluduje minister angielski Tomasz Johnston, że z rozmów z Niemcami prze-

konali się powracający, iż można liczyć na załamanie się Niemiec, o ile alianckie bombowce kontynuować będą swe naloty. Prasa angielska wyciąga z tego wniosek, iż brytyjskie i amerykańskie lotnictwo z całą energią, bezwzględnością i brutalnością powinno kontynuować prowadzony przeciwko narodowi niemieckiemu terror powietrzny".

„Chociaż owe rzekome wynurzenia Niemców, które Londyn przez usta swych zwolnionych jeńców podaje światu jako sensację, są oczywistym wymysłem, stanowiącym nowy tylko chwyt w zainicjowanej przez naszych wrogów kampanii nerwów i kłamstw — to jednak z zeznań powracających Anglików musi się naród niemiecki wiele nauczyć i poznać, jak poważne skutki mogą mieć takie wynurzenia, uczynione chociażby przez pojedyncze tylko osoby, nie pamiętające o obowiązku i honorze Niemców.

„Angielska prasa już od kilku tygodni wyrażała poważne wątpliwości co do skuteczności brytyjsko-amerykańskiego terroru powietrznego, zwłaszcza odkąd podnosiły się od tygodnia straty brytyjsko-amerykańskiego lotnictwa. Jeżeli jednak nadzieja narodu angielskiego i jego kierownictwa na mniemaną decydującą skuteczność brytyjsko-amerykańskiego terroru powietrznego przez bezmyślne lub świadome wynurzenia na nowo odżyła i jeżeli wskutek tego terror powietrzny przeciwko miastom i ludności cywilnej ze zdwojoną siłą miałby być kontynuowany, to podziękować będzie mógł naród niemiecki przede wszystkim gadułom, niepamiętającym o obowiązku i honorze. Oni są tymi którzy, siejąc zbrodniczy defetyzm, szkodzą całemu narodowi niemieckiemu i przysparzają gorzkich cierpień tak wielu ziomkom.

„Dlatego najświętszym obowiązkiem każdego Niemca jest natychmiast i z całą surowością wystąpić przeciwko plotkarzom oraz przeciwko defetystom, gdziekolwiekby się pokazali i przekazać ich do ukarania. Odda on tym samym usługę nie tylko narodowi niemieckiemu, lecz również bezpieczeństwu własnemu, swojej rodziny i swego mienia".

W Kairze odbył się ochód 25 rocznicy powstania wielkopolskiego. Obecni byli przedstawiciele kolonii polskiej z min. Strassburgierem i gen. Andersem na czele. Po odczytaniu telegramu od prem. Mikołajczyka jeden z byłych uczestników powstania złożył hołd ofiarom poniesionym przez naród polski i podkreślił konieczność nieustannej czujności wobec sąsiada niemieckiego. Następnie przedstawiciel klubu ziem zachodnich przemówił do przedstawicieli wojsk brytyjskich, przypominając rok 1918, kiedy to podczas pobytu w Poznaniu wojskowej misji brytyjskiej i Ignacego Paderewskiego rozpoczęło się powstanie, które doprowadziło do wyzwolenia Polski zachodniej spod jarzma niemieckiego.

DWIE MODLITWY — DWA NARODY

Przytaczamy poniżej bardzo charakterystyczny wyjątek z powieści wybitnego współczesnego pisarza francuskiego Jana Giraudoux p. t. „Siegfried et le Limousin". Jest to rozmowa między bohaterem tytułowym, Zygfrydem, urodzonym na ziemi francuskiej, i panną Ewą Schwanhofer, typową Niemką. Rzecz dzieje się w roku 1922.

„Nie wiem, czy nienawidzę wszystkich Francuzów, rzekła Ewa: nienawidzę Francji. We wszystkie wieczory recytuję moim małym krewniakom modlitwę przeciwko Francji.

— Niechże ją Pani wygłosi. W każdej godzinie można dostąpić odpustu, mówię

Zaczęła:

„Święta Maryjo, Matko Boża, uwolnij świat od strasznej rasy Francuzów; Ty, Któraś jesteś łaski pełna, Ty Orędowniczko Nasza — uczyń te miejsca, gdzie oni usiłują Ciebie czcić, Lourdes i inne, miejscami katastrof i ruin. Ty, Która nie wstawiałaś się za morderczymi Medami, sromotnymi Kartagińczykami, zwól, by Chrystus-Mściciel zesłał na nich Swe cierpienia, aby rozlał na nich smołę piekielnej zarazy. Módl się za nami, Ucieczko grzeszników, za nas, którzy chcemy odzyskać nasze armie, by zapolować na Negrów znad Renu, na Anamitów znad Neckaru, Marokańczyków znad Mozeli i żeby — jak w cudownych Nieszporach Sycylijskich masakrować Francuzów w ich czerwonych pludrach, smagać pokrzywami wyróżowane Francuzice i rozproszyć to plemię razem z plemieniem Serbów i bezwstydnych Rumunów.

Powiedz, o Maryjo Panno, Boża Rodzicielko Świętej Katarzynie, aby spaliła ich domostwa. Powiedz Świętej Barbarze, aby spowodowała eksplozje w ich kopalniach. Żeby sto tysięcy groźnych byków uwolnionych przez nas, zaraziło ich stada i trzody! Spraw, żeby sto tysięcy wagonów, opuszczających nasze fabryki, stało się w ich pociągach kurierami śmierci. Amen".

— Tak jest! I nie ma dziecka w porządnej rodzinie bawarskiej, któreby nie wygłaszało tej inwokacji przed pójściem do łóżeczka, kiedy księżyc wschodzi za szybami.

Zastanowiła się przez chwilę.

— A co robią mali Francuzi o tej porze? — spytała.

— Również mówią paciorek. Chce go pani znać? To tak:

„Święty Gabrielu Archaniele, zwracamy Ci miecz, którymś zwyciężył Hindenburżątko, Święty Michale Archaniele, oddajemy Ci Twą tarczę, która powaliła biednego Ludendorfa, Święty Rafaelu, Archaniele, oddajemy Ci Twój hełm, którym rozbiłyśmy głowę Wilhelmiątku. Kiedy przyjdzie czas, aby przebaczyć Niemiaszkom, którzy zburzyli 789.000 naszych domów, to wtedy zgódźmy się na mały znak: dziecko bawarskie ofiarowujące od siebie samego 10 fenygów na Francję. Kiedy przyjdzie czas przebaczenia zaślepionym Niemiaszkom, którzy uwieźli nasze siostry, którzy wysiekli nasze czereśnie i jabłonki, którzy spustoszyli 3 miliony i 337.000 naszych hektarów uprawnej ziemi, zgódźmy się na drobny znak, jakim będzie to, gdy mała dziewczynka heska, nie będzie już chciała więcej odmawiać swej wieczornej jadowitej modlitwy, bo Wy, Archaniołowie, dając nam zwycięstwo, odebraliście nam moc nienawidzenia".

— Mówmy szczerze, Ewo; możemy zresztą usiąść, bośmy już odmówili nasze błogosławieństwa".

(Tu następuje krótki ustęp, dotyczący akcji, po czym):

„— Czy pan wie, rzekła, jaką rotę wypowiadały uczennice niemieckie i jaką musiały przepisywać dziewięć razy i przesyłać dziewięciu przyjaciółkom?

Spoglądałem na nią, nie mówiąc ani słowa. Dosyć już miałem tych szturmów nienawiści. Ale ona zarecytowała:

„Germanio, przysięgamy Ci, że każda z nas będzie miała pięciu synów, aby Cię pomścić. Pierwszy z nich pomści Ciebie na P o l a k a c h, którzy są zniewagą i pośmiewiskiem Europy. Czterej następni pomszczą Cię na Francuzach, którzy chcą utrwalić swe istnienie za wszelką cenę. Oni to zagrabili w Alzacji dobra generała Schleucha, dawnego ministra wojny. Dzięki walorowi swego franka złupili nasze magazyny i śpichrze. Zbyt podli i słabi, aby sami gwałcić nasze kobiety, oddali je na pastwę murzynom. Ponawiają utyskiwania jak ów żebrak hiszpański, by podniecać litość i upominać się o jałmużnę. Ale, Germanio, godzina Twoja nadchodzi. Już Boliwia zawezwała z powrotem niemiecką misję weterynaryjną, już Stacja Zoologiczna w Neapolu przywołała na powrót niemieckiego dyrektora, już ptaszarnie w Nowym Jorku poprosiły o personel Hagenbecka, a Argentyna podziwia naszych uczonych botaników. Władztwo Twe, Germanio, którego doświadczasz na florze i faunie świata, zostanie Ci niebawem zwrócone. Tak, że kiedy przyjdzie dzień Nieszporów Sycylijskich Europy — jak go obwołuje dr. Grober, — Ty znajdziesz każdą z nas mierzącą sztyletem w swego bliźniego. Po pięcioletnich mordach, po pięcioleciu nienawiści, zarżnij każdego z naszych bliźnich-wrogów, to Twój cel, a oddane Ci zostanie władztwo nad tymi duszami, które zapłodniłaś Swą poezją i Swą muzyką".

Ewa, jakby wyswobodzona od ciężaru, podsunęła mi zręcznym ruchem tekst pod oczy. Po słowie „żebrak hiszpański" notatka na marginesie nakazywała unikania tej metafory w krajach używających języka hiszpańskiego i polecała zastąpienie jej Shylockiem stręczącym swój towar (— i żeby znowu tej przenośni unikać w środkowej Europie i środowiskach syjonistycznych)...

Kiedy więc umilkło to pianie szczenięce nie chciałem pozostać dłużny i przygotowałem moją rotę. Oto, co mówiły dziewczęta u nas: zresztą nie wynalazłem tego; był to dyskurs profesorki języka niemieckiego przy rozdawaniu nagród w Kolegium w Brive.

„Mamy dziś w Brive po raz pierwszy rozdzielać nagrody. Z radością dostrzegam zmniejszanie się pokłosia śmierci: coraz więcej jasnych sukien, miast czarnych. Z radością też mówię, że Tobie, Mario Desmoulins, która wzięłaś nagrodę za wypracowanie na temat niemiecki, Tobie Dionizo Laurent, która otrzymałaś takąż nagrodę za pracę na temat wersyfikacji niemieckiej, wam została zastrzeżona misja o wiele poważniejsza, niż tym z waszych towarzyszek-laureatek, które otrzymały je za prace z włoskiego czy angielskiego. Wy wiecie, kochane dziewczęta, że świat nasz posiada dwa hamulce: Niemcy, które tłumią napór ze strony naszych instynktów, naszego życia fizycznego, szturmy ze strony chaosu — jak tego dowiódł wam mój kurs przed Wielkanocą — i Francję, która niweczy zby-

teczne zapędy racjonalistyczne, teoretyzujące, logizujące, mierzące zamiary na siłę. Ty więc, Mario Desmoulins..."

Nie mogłem dokończyć mej antystrofy, bo zapukano do drzwi i weszło dwu mężczyzn".

Wyjątek powyższy maluje niezwykle plastycznie i wnikliwie dwa odrębne światy, dwie przeciwne sobie psychiki narodowe. Jest on jednocześnie przykładem rzadkim w literaturze francuskiej głębokiego wniknięcia w charakter niemiecki — wieczyście niezmienny.

CAMERA OBSCURA GERMANICA

W Nr. 287 „Oberschlesischer Zeitung" czytaliśmy:

„Zakończona obecnie w obu okręgach wschodnich praca „Niemieckiej Listy Narodowej" odkryła nieznany dotąd w dostatecznej mierze fakt, że liczni przynależni do narodu niemieckiego nosili spolszczone, lub czysto polskie nazwiska".

Warunki sprzyjające znalazła ta odmiana w słowiańskiej czeladzi. Gdy brało się jeszcze, ze względów dobrego sąsiedztwa, polskich ojców chrzestnych, wówczas dziecko otrzymywało często imię ojca chrzestnego. Stąd wynika fakt, że w najlepszych domach niemieckich, ze starą tradycją, — zagnieździły się liczne, czysto polskie imiona.

Kiedy w wieku XIV i XV nastały nazwiska rodowe, przyjmowano często jako nazwiska także słowiańskie nazwy miejscowości, osiedli lub wytyczonych terenów. W ten sposób zatarła się po części całkiem niemieckość lub niemieckie pochodzenie właściciela nazwiska.

Nierzadko spotyka się zwyczaj używania dwujęzycznych nazwisk. W starych dokumentach znajdujemy często obie formy w jednym i tym samym piśmie. Jeden z piszących list zwie się wprawdzie w owym liście v. Pfeilsdorf, ale podpisuje się jako Pilawski. U Niemców trudniących się rzemiosłem stało się określenie rzemiosła także nazwiskiem rodowym. Gdy więc kowal wszedł w otoczenie polskie, nazwano go po prostu Kowalem. Przy ustalaniu się nazwisk, rolę odgrywało tylko otoczenie, wśród którego dany człowiek żył. Otrzymał on rodowe nazwisko słowiańskie tak samo, jak niejeden inny o krwi niemieckiej. W słowiańszczeniu nie małą rolę odgrywało także przezwisko. Dokuczano sobie przezwiskiem; z początku była to zabawka, później uczepiło się to nazwisko na stałe człowieka niemieckiego.

Gdy z biegiem czasu w miastach polskich uzyskała przewagę ludność polska, nazwiska niemieckie coraz bardziej były zagrożone. W polskim języku potocznym było rzeczą zrozumiałą samą przez się, że syn Beiera nazywał się Beierowicz. Przez to powstały te liczne zniekształcone nazwiska niemieckie, jak Bauerowicz, Kornerowicz. Tam zaś gdzie utrzymało się nazwisko pod względem fonetycznym niemieckie, nie mogło się często obejść bez nadania mu co najmniej pisowni polskiej. Z Brücknera stał się Brykner, z Elsnera — Elzner.

Wszystkie przytoczone tu wypadki słowiańszczenia niemieckich nazwisk w dalekiej przeszłości miały swoje źródło może nie tyle w celach politycznych, ile raczej w słabości narodowej, która pozwalała nam powoli ulegać otoczeniu słowiańskiemu. Obok takich wypadków spotyka się jeszcze inny rodzaj polszczenia się nazwisk rodowych. Przybyli niegdyś na obszar Polski chłopi niemieccy bardzo prędko zauważyli, że szlachta posiadała wszelkie przywileje. Gdy więc chłop doszedł do pewnej zamożności, wtedy starał się o nadanie mu polskiego nazwiska szlacheckiego. Takie pochodzenie nie sprawiało mu zbytnich trudności, jako że co do wykształcenia i kultury stał on wysoko ponad drobną szlachtą polską.

Podobnie miała się rzecz z niemieckimi obywatelami miast polskich. Jak długo taki obywatel mieszkał w samym mieście, nie miał powodu ubiegać się o nazwisko szlacheckie. Lecz sytuacja zmieniła się od razu, gdy zakupił folwark i nawiązał stosunki ze szlachtą. Już aspiracje nie ustępowania jej co do uprawnień kazały mu uzyskać nazwisko z końcówką „ski". Najczęściej nazywał siebie potem wedle folwarku, na którym gospodarował.

Słowiańszczenie się niemieckich nazwisk rodowych trwało aż do najnowszych czasów. Po roku 1918, na samych odstąpionych terenach wschodniego Górnego Śląska spolszczono przymusowo 40 000 nazwisk rodowych. W czasie w którym człowiek niemiecki na tym obszarze bardziej niż kiedykolwiek zdaje sobie sprawę ze swych wartości duchowych w stosunku do obcej grupy narodowej, nieznośny staje się dla niego fakt, że jest obarczony nazwiskiem polskim. Obecnie we wszystkich dziedzinach wymazane będzie to wszystko, czym historia na Wschodzie zgrzeszyła wobec niemieckości".

Artykuł posiada jednak lukę dość niepokojącą. Porusza bowiem tylko jedną stronę

zagadnienią: pisze tylko o Niemcach o polskich nazwiskach na nowych terenach niemieckich. A przecież istnieje wiele tysięcy Niemców w samym sercu Wielkiej Rzeszy posiadających nazwiska o brzmieniu czysto polskim wzgl. słowiańskim i to nie w przeróbce fonetycznej ale w samym rdzeniu jak np. Nowotny, Skorzenny, Biedrzycki (red. „Völkischer Beobachter"), Blaskowitz, Hadamowski itp. Jak nieznośnym musi być dla nich fakt, że są obarczeni nazwiskiem polskim w czasie, w którym człowiek niemiecki bardziej niż kiedykolwiek zdaje sobie sprawę ze swych wartości duchowych w stosunku do obcej grupy narodowej. Sprawa jest poważna. Ci ludzie narażani są na kompleks niższości, ich zdrowie psychiczne może ulec zakłóceniu. A przecież wystarczyłaby jedna prosta rzecz, by tysiące Niemców uwolnić od „nieznośnego obarczenia". Wystarczyłoby urzędowe rozporządzenie, że z takim a takim dniem nazwiska o brzmieniu polskim wzgl. słowiańskim, jakie posiadają rodowici Niemcy w Rzeszy, uważa się za czysto niemieckie (urdeutsch), a sprawa byłaby definitywnie załatwiona.

Pod skalpel

„DEUTSCHE WIRTSCHAFT"

Tym razem poza tytułem nic nie jest naszą własnością w tej rubryce. Zaszczyt bowiem jej całkowitego wypełnienia daliśmy pewnej czytelniczce „Thorner Freiheit", która umieściła w nr. 246 tego pisma na temat porządków panujących w toruńskim magistracie — list, napisany ze zdumiewającym jak na Niemkę temperamentem. Oto jego brzmienie:

„O ile dobrze jestem poinformowana, mamy wojnę totalną. Każdy ma się przyczynić do wygrania jej i każdy czyni to na swój sposób. Miasto Toruń np. przyczynia się tym, że bawi się w tę śliczną grę dla dzieci: „verwechsel, verwechsel das Bäumelein" z numerami domów. Kto zna np. wybudowany kiedyś przez polski zakład ubezpieczeniowy niezbyt piękny blok domów na Przedmieściu Bydgoskim — ten może przekonać się o tym, że dotychczasowa Melienstrasse 19/21 obecnie ma numer 19, zaś Melienstrasse 23/25, teraz 21/23. Jaka śliczna obfitość możliwości do pomyłek nastręcza się obecnie dla kogoś, kto szuka starego numeru 21 pod nowym numerem 21! Dla poczty, dla władz, które opływają przecież w nadmiar personelu! To samo odnosi się do Bendenstrasse, do Klossmannstrasse a przede wszystkim do okręgów na peryferiach Torunia. Nie wiadomo nam, ile się tam kręci silnych mężczyzn, którzy odważnie brnąc w piasku, informują uszczęśliwionych mieszkańców, że ich domy otrzymały nowe numery i że oni muszą dlatego umieścić nowe tablice. Będzie ich już chyba cały pluton. A jakież to śliczne dla obcego, gdy chce odszukać kogoś pod starym numerem i znalazłszy ten numer dozna radosnej pewności, że wolno mu wlec się 5 minut dalej lub z powrotem. I jak ładnie nakręca się gospodarkę w ten sposób! Jest zapotrzebowanie na nowe tablice, które trzeba wytworzyć i które nierzadko zrywa się znowu po krótkim czasie. Nadzwyczaj ważna w czasie wojny praca — może nie?

„Niech mi Pan nie przypisuje manii wielkości. Gdybym była generałem von Unruh'em i miała nadzór nad siłami roboczymi, wiedziałabym co mam zrobić. Odebrałabym miastu natychmiast wszystkie potrzebne do zmiany numeracji siły robocze, zatrudnione w służbie wewnętrznej i zewnętrznej. A panu, który odpowiedzialnie nakazuje tę pomysłową grę, kategorycznie zadałabym pytanie: „Kto chce do wojska?" Piosenka dla dzieci, jako odpowiedź na grę dla dzieci — to wydaje mi się całkiem na miejscu.

„Do stu piorunów! Czy z przenumerowaniem domów nie czas, aż się wojnę wygra?"

Z PIERWSZEJ LINII FRONTU

WIELKOPOLSKA

PSYCHOZA POWSTAŃCZA WŚRÓD NIEMCÓW

Niemcy poczynają sobie zdawać sprawę z faktu, iż przyłączone pochopnie ziemie polskie bynajmniej nie stanowią nabytku trwałego. Propaganda niemiecka przygotowuje swe społeczeństwo do tego, że polskie ziemie zachodnie trzeba będzie jeszcze raz walczyć. Przygotowanie się do tej walki staje się czołowym problemem, usuwającym w cień wszystkie inne zagadnienia. Niszczenie resztek polskiej inteligencji, masowe aresztowania, olbrzymia akcja wywózki na roboty do Rzeszy, tropienie placówek wojskowych — oto jeden kierunek niemieckich przygotowań; gorączkowe uzbrajanie włas-

nej ludności, masowa rekrutacja do policji pomocniczej, powoływanie do życia różnego rodzaju oddziałów samoobrony, liczne instrukcje na wypadek powstania polskiego i szeroka akcja szerzenia i potęgowania nienawiści do Polaków — to drugi kierunek niemieckiej akcji.

Fakt, że po czterech latach takiej okupacji władze niemieckie podejmować muszą podobne kroki obronne — stanowi najwyższą pochwałę i uznanie dla społeczeństwa polskiego Ziem Zachodnich.

Terror trwa w dalszym ciągu. Zalecono wprawdzie pracodawcom przyzwoite obchodzenie się z robotnikiem polskim, na jesień minimalnie podwyższono przydział chleba, zezwolono w zakładach pracy na rozmowy polskie, tym nie mniej jednak trwają bez przerwy masowe aresztowania. Traktowanie więźniów nie uległo najmniejszej poprawie. Ostatnio Gestapo poznańskie wynalazło nowy nieskomplikowany sposób znęcania się nad aresztowanymi lub podejrzanymi. Dla wymuszenia zeznań gestapowcy przyskrzyniają Polakom palce w drzwiach.

Gorączka nalotowa. Ewakuanci niemieccy z terenów bombardowanych przywlekli ze sobą gorączkę nalotową. W całej Wielkopolsce trwają wielkie przygotowania do obrony przeciwlotniczej. Ogólnie Niemcy spodziewają się, że bombardowanie w niedługim czasie obejmie i Wielkopolskę. Silnie rozbudowuje się sieć artylerii przeciwlotniczej. W Poznaniu przystąpili Niemcy do budowy wielkich schronów publicznych, budowanych w kształcie tuneli pod głównymi ulicami. Należy podkreślić, że schrony te przeznaczone są „nur für Deutsche". Z powodu braku ludzi zmuszeni są Niemcy powoływać także i Polaków do organizacji opl. Poza służbą w opl. na terenie zakładów pracy i bloków mieszkalnych, powołuje się także Polaków do obsługi dział przeciwlotniczych.

POMORZE

WZMOŻENIE TERRORU

Pomorze znów żyje pod terrorem masowych aresztowań. Największe ich nasilenie zaobserwowano na Kaszubach i Wybrzeżu. Aresztowania obejmują przeważnie Polaków „opornych". W kołach partyjnych krążą pogłoski, że przygotowuje się aresztowanie i wywiezienie do obozów koncentracyjnych wszystkich Polaków opornych w wieku od 17 do 50 lat.

W szeregu wypadków miały miejsce aresztowania za kontakty z jeńcami angielskimi. W pow. wąbrzeskim aresztowano trzy Polki za dostarczanie jeńcom angielskim żywności. W pow. wyrzyskim szereg gospodarzy Niemców, pełniących służbę bezpieczeństwa jako „Landwachtmänner" został odznaczony za ujęcie zbiegłych jeńców angielskich i Polaków, którzy służyli Anglikom pomocą w ucieczce.

„Wymiar sprawiedliwości". Sądownictwo niemieckie nie chce pozostać w tyle w dziele eksterminacji elementu polskiego. Notujemy kilka dalszych wypadków z tej dziedziny. Sąd specjalny w Gdańsku skazał na karę śmierci 29-letniego Polaka Alojzego Michnowskiego z pow. starogardzkiego, za kradzież. Wyrok wykonano 6 grudnia. Niemca Hugo Neumanna ten sam sąd za to samo przestępstwo skazał na karę 2 miesięcy więzienia. Sąd doraźny w Chojnicach skazał 58-letniego Polaka Józefa Walczaka z pow. chojnickiego na karę śmierci za niezłożenie u władz niemieckich doniesienia przeciwko sąsiadowi Polakowi, który planował zamach na żandarma niemieckiego. Wyrok wykonano. Wymienić należy również wyrok, który zapadł przeciwko Polakowi Józefowi Maciakowi z Nowego n/Wisłą. Maciak skazany został na karę 6 lat obostrzonego obozu karnego, za okaleczenie widłami konia.

Każdy dzień na Pomorzu przynosi dziesiątki takich wyroków.

„Nur für Deutsche". — Władze niemieckie wydały zakaz przyjmowania do szpitali Polaków powyżej 60 lat, oraz tych wszystkich Polaków, którzy nie posiadają kart pracy. W praktyce korzystanie z lecznictwa szpitalnego było już i dotąd wręcz nieosiągalne, powyższe więc zarządzenie sankcjonuje tylko istniejcy już stan rzeczy. Bardziej zasadniczą zmianę przynosi inne zarządzenie niemieckie, które zakazuje lekarzom ubezpieczalni zapisywania Polakom lekarstw zawierających witaminy.

Wysiedlenia. — Ostatnio przeprowadzają Niemcy znowu bardziej intensywne wysiedlenia Polaków z wsi pomorskich, szczególnie w granicznych powiatach — wyrzyskim, sępoleńskim i chojnickim. Wysiedlenia przeprowadza się przeważnie nad wieczorem lub nad ranem. Wysiedlanym nie wolno nic zabrać. Zdolnych do pracy kieruje się na roboty do Rzeszy, niezdolnych — do obozu w Potulicach. Wysiedleniom pod-

legają głównie Polacy „oporni" oraz ci, których nie przyjęto na listę niemiecką. Pozatem wysiedla się osoby i rodziny, korzystające z rent i zapomóg. Mieszkania po wysiedlonych Polakach zajmują przeważnie Niemcy ewakuowani z Ukrainy.

P o b ó r d o w o j s k a. — Mobilizacja na Pomorzu obejmuje coraz to nowe roczniki. Powołuje się do wojska wszystkich, nawet wyreklamowanych, bez względu na ich niezbędność w przemyśle. Dotąd wcielono na Pomorzu do wojska około 250.000 mężczyzn. Coraz powszechniej powołuje się do wojska Polaków, wpisanych do IV grupy NLN. Potrzeba rekruta jest tak wielka, że władze niemieckie zdecydowane są w sposób bezkompromisowy „zniemczyć" wszystkich Polaków, przedstawiających jakąkolwiek wartość z punktu widzenia wojskowego.

W Bydgoszczy ok. 5.000 mężczyzn otrzymało wezwania do stawienia się w dniu 23 grudnia do wojska. Wśród powołanych Niemców termin stawiennictwa, który uniemożliwił im spędzenie świąt Bożego Narodzenia w gronie rodzinnym, wzbudził wielkie rozgoryczenie.

Coraz więcej Polaków kierują Niemcy na front wschodni. W prasie niemieckiej, wychodzącej na Pomorzu coraz częściej znajduje się nekrologi Polaków, poległych na froncie rosyjskim.

U c h o d ź c y e w a k u u j ą s i ę. — W tragiczny sposób zbrodniczy posiew niemiecki obraca się przeciw samym Niemcom. Po bombardowaniu miast nieprzyjacielskich na kontynencie i na wyspach brytyjskich — poczęły padać bomby na miasta niemieckie. W efekcie na nasze Ziemie Zachodnie zaczęła napływać wielka fala niemieckich uchodźców. Wraz z innymi ziemiami polskimi Pomorze stać się miało azylem dla zbombardowanych Niemców. Propaganada n. t. okrucieństw polskich, zastosowana szeroko wobec ewakuantów, sprawiła władzom niemieckim wielką niespodziankę. Otóż głównie pod wpływem niemieckiej antypolskiej Gruelpropagandy — przywiezieni na Pomorze ewakuanci z terenów bombardowanych, zwłaszcza Hamburczycy uciekają masowo, obawiając się polskiego... powstania i odwetu. Kierują się oni do południowych Niemiec, zwłaszcza do Bawarii i Austrii.

Ucieczka uchodźców niemieckich trwa, mimo, że władze niemieckie we wszystkim dają ewakuantom pierwszeństwo. Na tym tle powstały głębokie niesnaski w łonie samego społeczeństwa niemieckiego. Główny ciężar utrzymania uchodźców ponosi oczywiście ludność polska. M. in. w związku z przeprowadzaną zbiórką pierza na pierzyny dla uchodźców, zdarzają się bardzo często wypadki rekwirowania przez władze partyjne pierzyn i bielizny pościelowej Polakom. W pow. brodnickim wszystkim Polakom odebrano pierzyny.

„C z e r w o n y K r z y ż". Jeszcze raz ujawniło się, w jaki sposób nadużywają Niemcy międzynarodowego znaku Czerwonego Krzyża. Z dziewięciu niemieckich statków, zatopionych podczas nalotu w porcie gdyńskim, jeden był oznaczony czerwonym krzyżem. Na statku tym po uderzeniu bomby nastąpił wielki wybuch. Jak się okazało, na niższym pokładzie statek posiadał wielki ładunek amunicji, która miała być przemycona dla oddziałów niemieckich w Norwegii.

ŚLĄSK

NOWA FALA ARESZTOWAŃ

W dalszym ciągu stosują Niemcy publiczne egzekucje jako środek rzucenia postrachu na ludność polską, sympatyzującą z partyzantami. M. in. w Istebnej i w Mostach pod Jabłonkowem stracono publicznie ogółem 17 osób. Skazanych wybrano spośród więźniów politycznych.

Fala aresztowań znowu się wzmogła na całym Śląsku, szczególnie w okolicy Bielska i Katowic. W drugiej połowie listopada aresztowano m. in. proboszczów w Górkach, Lipowcu i Ustroniu. Aresztowania odbyły się rzekomo pod zarzutem słuchania radia zagranicznego i za ukrywanie księdza, zbiegłego rzekomo z Dachau.

K o n f i s k a t a m a j ą t k u k o ś c i e l n e g o. — Na polecenie Gestapo, urząd skarbowy w Katowicach objął zajęciem jako majątek wrogi diecezjalne seminarium duchowne, budującą się katedrę i przynależny do niej grunt w Katowicach oraz kościół parafialny Chrystusa Króla i probostwo. Wartość zajętego majątku kościelnego sięga milionów marek. Równocześnie uległ konfiskacie cały majątek nieruchomy kościelny i kurialny. „Wrogość" tego majątku polega na tym, że Kościół „ulega wpływom polskim". To nowe zarządzenie niemieckie wywołuje nieoczekiwany i niezamierzony skutek. Pcha ono nawet chwiejnych i ostrożnych dotąd ku walczącej polskości.

Brak lekarzy. — Prezes Izby Lekarskiej interweniował u namiestnika Brachta w sprawie zastraszającego braku lekarzy i zaproponował umożliwienie dalszych studiów Polakom — byłym studentom medycyny. Bracht dał swe pozwolenie i w związku z tym katowicki urząd pracy wyszukał 25 byłych medyków, pracujących obecnie przeważnie w kopalniach i skierował ich na studia do Wrocławia. Sprawa ta wywołała wśród Niemców duże niezadowolenie, twierdzą oni bowiem, że przy takim urzędowym poparciu, inteligencja polska znowu podniesie głowę.

Z ZIEM POWRACAJĄCYCH

MAZURY

Świadomy ruch polski na Mazurach w rejonie Olsztyna, Ełku, Johannisburga itd. został przez Niemców całkowicie stłumiony. „Zgleischaltować” Mazurów jednak Niemcy nie zdołali. Wbrew surowym zakazom, Mazurzy w życiu codziennym posługują się powszechnie gwarą mazurską. W sposób dobitny i nie pozostawiający żadnych wątpliwości Mazurzy stale podkreślają swą odmienność plemienną w stosunku do Niemców. Napływ robotników polskich przymusowo wywiezionych na roboty do Prus Wschodnich, jako też pobyt zmobilizowanych Mazurów w Polsce przyczyniają się do rozbudzenia wśród ludności mazurskiej poczucia wspólnoty z narodem polskim. Wojna zbliżyła Mazurów do Polski, pozwoliła im stwierdzić, że niemiecka propaganda o polskim „barbarzyństwie” operuje fałszami. Wszystko to łącznie ze wspólnotą języka przyniosło Niemcom niezamierzony efekt. Repolonizacja Mazurów, szczególnie elementu rolniczego nie będzie przedstawiała żadnych większych trudności.

POMORZE ZACHODNIE

5% Polaków. — Liczbę Polaków zatrudnionych obecnie na Pomorzu szczecińskim szacować należy na około 120.000. Stanowi to 5% ogółu ludności. W samym Szczecinie pracuje 13.000 Polaków. Polacy stanowią tu najliczniejszy odłam robotników napływowych. Pomorze szczecińskie zostało w takim stopniu ogołocone z mężczyzn, że na jednego Niemca w sile wieku, przypadają dwaj robotnicy napływowi w miastach a 2 — 3 robotników napływowych na wsi.

Dzięki tej swego rodzaju przewadze, oraz coraz poważniejszej roli, jaką Polacy pełnią w rolnictwie, rzemiośle, przemyśle a nawet w niższej administracji przemysłowej — sytuacja wywiezionych ulega systematycznej poprawie. Samowolnie np. Polacy przestali nosić literę „P”. Stosunki rozwijają się tu w ten sposób, że miejscowa ludność niemiecka w obawie o dni przełomu stara się zaskarbić względy Polaków.

BITWA W ŚLĄSKIM LESIE

Był dzień 26 września 1943 Działo się to w lasach Zakrzewskich. Ukryty głęboko w gęstwinie odpoczywał niewielki oddziałek partyzancki „Kasztany”. Wszystkiego razem dziewięciu chłopców w tym jeden ranny w poprzednim dniu, i drugi, który miał tylko szesnaście lat, i trzeci, który nie posiadał rewolweru. Niestety, uzbrojenie całego oddziału, to tylko osiem maszyn kalibru 7,65.

Przez gałęzie naprędce skleconego szałasu spływają strumienie deszczu. Chłopcy zdążyli się już zahartować i przyzwyczaić do leśnego życia, ale przenikliwe zimno jesiennej ulewy nikomu nie wpływa na polepszenie humoru. A tu dziś ognia nawet rozpalić nie można, bo przeprowadzony rankiem wywiad doniósł o koncentrowaniu się w okolicy większych oddziałów policji i landwachy. Ano trudno, po zimnym śniadaniu zjemy zimny obiad, a jeśli Bóg zdarzy, to na rozgrzewkę będziemy się bić. Ręce mocniej zaciskają się na kolbach rewolwerów, a w oczach zapalają się chłodne ognie, które grzeją jednak mocniej, o! daleko mocniej, niż płomienie zakazanego dzisiaj ogniska.

Od strony dalekiej szosy szumią motory samochodów — jeden, drugi, trzeci, czwarty... Cóż im się tak dzisiaj na jeżdżenie zebrało?

Wystawieni wypatrywacze nadbiegają z meldunkami: Otaczają nas! Jesteśmy otoczeni! Samochodami wjechali na przecinki leśne!

Tak! Teraz słychać wyraźnie. To nie na szosie huczały samochody. Niemcy wjechali do lasu. Płaski, twardy teren, szeroko wycięte przecinki nie stawiają kołom żadnej przeszkody, a judaszowskie ręce wskazały

wyraźnie punkt postoju oddziału, który w innych warunkach, pozostałby niezauważony nawet przez dziesięć obław.

Nie ma czasu na namysły, nie ma czasu na dyskusje, samochody jadą szybko i już strzelają karabiny maszynowe. Kule sieką przez gęstwinę młodego lasu i wyrąbują w plątaninie zielonych gałązek prościuteńkie ścieżki, którymi biegnie w stronę oddziału śmierć.

Chłopcy przywarli do ziemi. Skokami naprzód. Naprzód, to znaczy na Niemców, bo zresztą innej drogi nie ma. Tak, teraz wszyscy rozumieją wyraźnie, że to nie jest zwyczajna obława szukająca pod lasem siedzących w lesie partyzantów.

Niemcy tym razem polują na upatrzoną zwierzynę. Tchórzliwym policjantom i żandarmom, chciwym chłopom z besarabskiego pomiotu niemczyzny, dekownikom poza frontowym nie opadają dzisiaj portki z roztrzęsionych strachem brzuchów. Przecie czeka ich takie wspaniałe, a takie łatwe zwycięstwo: — zlikwidowanie oddziału „polskich bandytów", oddziału uzbrojonego aż w osiem rewolwerów.

Bo Niemcy wiedzą to dzisiaj dokładnie. Polują przecie na upatrzonego. Jakaś zdradziecka dusza objaśniła obskurnych Fryców i tchórzliwych Hansów, że polskie niebezpieczeństwo siedzące w lesie nie jest tym razem tak groźne jak myśleli i że nadarza się poza tym wspaniała i jedyna okazja do udowodnienia władzom, że są tutaj potrzebni i że wierutne głupstwo zrobiłby ten, ktoby ich wycofał z zagrożonego hinterlandu na front.

A było ich tylko czterystu dobrze wypasionych chłopów uzbrojonych w karabiny, maszinpistole, maszingewery, granatniki nawet. Wjechali samochodem w serce zdradzonego lasu, wypuścili przed siebie wyspecjalizowane w POLOWANIACH na ludzkie mięso psy, rozstawili na wszystkich przecinkach karabiny maszynowe, żywa noga nie powinna ujść z zastawionej sieci, tylko ruszyć naprzód, przestrząsnąć te pół kilometra osaczonej gęstwiny, tylko...

Patrzy się Fryc na Hansa, Hans na Fryca i kombinują w tępych niemieckich łbach, że osiem rewolwerów, to jednak zawsze osiem rewolwerów, i że nie ma po prostu sensu szukać własnowolnie guza.

Bohaterska komenda ratuje sytuację: Feuer.

I oto już grzmią karabiny maszynowe i maszinpistole, przytakują im ręczne, basują granaty. Nad kolbami pochylone teutońskie gęby seriami pełnych magazynów i taśm wyładowują swoją wściekłość. Zdławić, zniszczyć ten polski bunt, zasypać ołowiem, pogrześć pod tymi sosenkami, które kule ścinają lepiej od siekier. Więc z nowych taśm i ze wszystkich luf grzmi poprzez las śmierć i pieni się niemiecki gniew.

Po okolicznych wsiach zmartwiałe baby sięgnęły po różaniec i klękają przed obrazami, a po chłopach idzie wieść jak płomień, że angielskie wojska wylądowały w zakrzewskich i wręczyckich lasach i że rozpoczęła się wielka bitwa.

Angielskie nie angielskie, ale że się jakaś wielka bitwa rozpoczęła to fakt, który w uszy największych niedowiarków wbija się odgłosami palby tak donośnej, nieprzerwanej i ciągle potężniejącej jaką chyba tylko na froncie słyszeć można.

Przerwać ogień — komenderują wreszcie Niemcy. W lesie zapada powoli cisza i tylko deszcz coraz to większy szepce swoje jesienne pacierze w igliwiu sosen.

Zmoczone, drżące psy nie chcą schodzić z przecinek w milczącą głąb lasu i nie łapią tropu. Ale co tu mówić o tropie. Przecie po takiej strzelaninie, nikt tam żywy nie mógł pozostać. Zimno i deszcz dokuczają obławie. Czas już na zakończenie wyprawy i na liczenie trofeów. Wysoki, rudy policjant pierwszy skacze do lasu. Za nim ruszają inni. Nareszcie będą mogli zaspokoić straszliwą żądzę mordowania wywlekaniem wnętrzności na bagnetach z żywych może jeszcze ludzi i rozgniataniem skrzywionych w męce konania warg obcasami podkutych butów.

Wtem — nagle — z rozczesanej kulami kępy niewysokich sosenek dwa niespodziewane strzały i rudy policjant wali się na łeb. Między drzewami jakiś cień, ale przestraszonym kulturtregerom nie myśleć teraz o pościgu. Feuer — Feuer — i znów grzmi las terkotem maszynówek i będzie tak grzmiał bez przerwy od godziny drugiej trzydzieści po południu, do wpół do ósmej wieczorem. Zaiste, wielka bitwa toczyła się owego dnia w lasach zakrzewskich.

O piątej Niemcy święcili pierwszy sukces. Gdzieś z lasu, z pobliska stanowiska karabinu maszynowego słychać jakiś jęk. Coś ze dwudziestu bohaterów zaczyna się podczołgiwać, posypując obficie las przed sobą kulami.

We wrzosach, twarzą do ziemi, w skrzepach własnej krwi, leży najmłodszy żołnierz oddziału, szesnastoletni Jurek. Dostał całą serię kul, ale jeszcze żyje. W tej chwili zauważyli go Niemcy. Nur ein — verwundet — nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Poderwała się z ziemi teutońska furia i biegnie poprzez las wściekła i mściwa. Nic cię już nie uchroni, nic nie uratuje — biedny Jurku — od straszliwej śmierci, którą ci niesie to stado rozszalałych bestyj.

Już go dopadli. Wtem, nagle pulchny wachmeister, z twarzą dobrotliwego tatusia, własną piersią zasłania chłopca.

Na spienionych twarzach nagonki zawód i gniew.

Nie zabijać go — cedzi słodko wachmeister — poszczujemy go psami.

Sieg Heil — panie wachmeister.

Już wypuszczono dwa olbrzymie wilczury. Z ust chłopca krzyk, który chyba tylko niebo przyzywa na pomoc i trzask kruszonych kości i płaty czerwonego mięsa i krew i krew...

Wtem z lasu, prosto w gromadę zaskoczonych zbrodniarzy, niespodziewany błysk rewolwerowych strzałów. To dowódca oddziału partyzanckiego usiłuje rozpaczliwym atakiem ratować kolegę. Komendant obozu Arbeitsdienstu w Kłobucku wali się ciężko na ziemię. Jakiś raniony bessarabczyk klnie głośno z niemiecka po rumuńsku.

Niemcy zaczynają wreszcie strzelać, ale atakujący jest już poza osłoną drzew. Poszczute wilczury ruszają w pogoń. Partyzancki rewolwer zagadał ponownie i tylko żałosny psi skowyt, dochodzący z głębi lasu donosi, kto z tego pojedynku wyszedł zwycięsko.

Niemcy są już znużeni walką. Popychani naprzód komendą ukrytych bezpiecznie na tyłach gestapowców, decydują się wreszcie na bardziej dokładne przeszukanie lasu. Szukają i modlą się żeby nie znaleźli. Zbyt nikłe odnieśli do tej pory zwycięstwo i zbyt wysoką cenę musieli za nie zapłacić.

W głębi lasu czyha na nich wróg groźniejszy od niewielkiego oddziału patryzanckiego. W głębi lasu czyha na nich strach. Tamtych zostało tylko ośmiu, a przecież cały las grzmi nieustającą palbą, jakby to kompanie wojska ze sobą walczyły. To strach każe Niemcom strzelać, strzelać samym do siebie.

Na jednej z przecinek ktoś wychodzi z lasu. Zdenerwowany celowniczy posyła od razu całą serię z c. k. m. — charkotliwy krzyk — nich schiessen — nie uratował życia utuczonemu żandarmowi, który już był pewien, że całą wojnę przeżyje bezpiecznie na tyłach, na kradzionym polskim chlebie.

Ale i dla oddziału partyzanckiego niełatwy to jest dzień.

O otwartej walce nawet marzyć nie można przy tym stosunku sił i uzbrojenia. Warują więc chłopcy pojedynczo i dwójkami przy ziemi. Czołgają się, skokami przez zagrożone przecinki, prześlizgują się do bardziej bezpiecznych części lasu. Czają się czasem godzinami tuż pod bokiem czatujących Niemców, czekając na chwilę sprzyjającą do zrobienia dalszego odskoku. Często najeżona maszynowymi pistoletami obława niemal depce po nogach ukrytego w gęstwinie chłopaka, który tylko coraz mocniej zaciska palec na spuście rewolweru.

Nie zawsze jednak da się pozostać niezauważonym. Wtedy przemawia rewolwer partyzanta. Niemcy odpowiadają bezładnym ogniem. Trzeba tylko wyzyskać tę pierwszą chwilę popłochu i szybkim odskokiem, drwiąc ze świszczących kul, znaleźć schronienie w następnej grupie drzew. A potem znowuż czołgać się godzinami metr po metrze, przeskakiwać przecinki między dwiema seriami z karabinu maszynowego i tak powoli, krok za krokiem, licząc w myślach pozostałe w magazynku naboje, zdobywać prawo do dalszego życia i do dalszej walki.

Deszcz już przestał padać. W huczący strzałami las powoli wkrada się zmierzch. Gęste zasłony mgieł rozsiadły się na przecinkach. Coraz rzadziej strzelają karabiny maszynowe i słychać już okrzyki wycofującej się obławy. O godzinie dziewiętnastej trzydzieści, gdzieś z kierunku toru kolejowego po raz ostatni zaszczekała maszynówka.

Tym razem niestety skutecznie...

— — — — — — — — — — — — — — — —

W gęstniejącą ciszę nocy wbija się przeraźliwy gwizd puszczyka. To dowódca oddziału partyzanckiego zwołuje swoich chłopców.

Powoli nadbiegają odpowiedzi: Jedna — druga — chwila ciszy — trzecia i znów cisza, że słychać stukot serca, które teraz bije tak mocno — wreszcie czwarta i piąta i cisza tym razem nieprzerwana, niepokojąca, długa cisza nocy leśnej.

Jeden zginął, ale jeszcze dwóch, jeszcze dwóch — skanduje serce.

Napastliwy krzyk puszczyka ponownie biegnie w noc i ponownie powraca tylko pięć odpowiedzi...

Nie dowołasz się już panie dowódco swoich chłopaków, dosięgły ich te ostatnie strzały, które zakończyły dzisiejszą walkę.

Ale i Niemcy drogo opłacili uzyskane sukcesy.

Komendant obozu Arbeitsdienstu w Kłobucku i dwu policjantów zabitych. Dwóch bessarabczyków ciężko rannych. Ponadto zabite dwa psy policyjne. Niewiele Niemcom pozostało ochoty na urządzenie drugiej obławy.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Nad opuszczonym przez wroga lasem głęboka noc. W najtajniejszą głębię tej nocy pomaszeruje reszta ocalałego oddziału. Nie wiem czy Niemcy odnajdą jego tropy, ale pewny jestem, że lufy jego rewolwerów zobaczą jeszcze napewno.

Nowina.